

Giedroyć też człowiek



Jerzy Giedroyć, fot. Ignacy Szczepański.

Florian Śmieja

O redaktorze „Kultury” często mówiło się, że to „Książę”, a więc ktoś niezwykajny, osobliwy, nietypowy. Taki *superman*, po którym rzeczą naturalną było spodziewać się rzeczy wybitnych: odwagi myślenia, suwerenności, dżentelmeństwa, klasy. I bez wątpienia Giedroyć cechy te posiadał w dużym stopniu.

Ale istniał również konkretny człowiek, Giedroyć z nałogiem palenia, zażarty korespondent, miłośnik psów.

Jego słynna recepta na długowieczność: palenie tytoniu, nie branie urlopu i obywanie się bez snu, nie wykluczała sporadycznych odchyień, a przynajmniej marzeń. I tak w liście z 1957 roku odpowiadając na mój kolejny raport z hiszpańskich podróży Giedroyc pisał:

Od lat nie byłem w stanie wziąć urlopu i jestem teraz zupełnie wykończony. Marzę o jakiejś maksymalnie pustej plaży, z dobrym piaskiem, ale nie za bardzo prymitywnej. Gdyby Pan miał (nie sprawiając sobie kłopotu) jakieś adresy, to bardzo będę wdzięczny. Idzie mi o koniec sierpnia, raczej wrzesień.

Giedroyc drukował moje wiersze, przekłady, omówienia i noty (wiersze niekiedy akceptował Marian Pankowski, a później, Gustaw Herling-Grudziński). Nie raz je także odsyłał. Potrafił cieszyć się cyklem recenzyjnych przeglądów nowości z literatury języka hiszpańskiego i powiedzieć o moich przekładach, że „niektóre są prześliczne”. Kiedy indziej rezygnował z oferty. Napisawszy kiedyś obszerną recenzję z monografii poświęconej hiszpańskiej literaturze emigracyjnej posłałem ją do „Kultury”. Redaktor szkic odrzucił.

Temat jest niezmiernie interesujący i wymagający zarówno przeanalizowania, jak i wyciągnięcia wniosków, choć trudno porównywać sytuację emigracji hiszpańskiej z emigracją polską. Niech Pan się nie gniewa, ale Pana artykuł robi na mnie wrażenie, że jest pisany ze zbyt wyraźną i ze zbyt podkreśloną analogią do stosunków polskich. Z tą analogią nie bardzo się mogę zgodzić, gdyż trudno porównać stosunki w Hiszpanii i w Polsce, specjalnie w ostatnim okresie, no i sytuacja polskiej literatury emigracyjnej jest też inna.

Choć wywody Giedroycia nie były pozbawione pewnej racji, broniłem się w odpowiedzi zażarcie. Pisałem:

Nie mogę się zgodzić z zarzutem, że pisałem „pod” coś (kraj?), „anty” coś (emigracja polska?). Co najwyżej można mnie pomawiać o mało krytyczne przyjmowanie tego, co hiszpański krytyk postuluje, a co można by częściowo zaliczyć do tzw. pobożnych marzeń. Wydawało mi się natomiast, że właśnie na podstawie różnych kwestii zawartych w omówieniu, ktoś bardziej powołany do sądu mógłby się pokusić o wykazanie, że polska literatura emigracyjna jest tak wspaniała jak grube są tomy Terleckiego i paplanina na temat literatury Mieroszewskiego [...]

Nie jestem naiwny, by twierdzić, że Hiszpania to wolny pod każdym względem

kraj. Ale ponieważ idzie na nią nagonka ze wszystkich stron połączona z przemilczaniem pozytywów, staram się te ostatnie podkreślać. Jeśli więc jest coś w omówieniu pisanego pod kraj, to pewne prawdy o Hiszpanii, o których tam nie wolno pisać.

Kiedy Pablo Neruda otrzymał nagrodę Nobla, posłałem Giedroyciowi kilka przekładów jego poezji na język polski. Równocześnie odebrałem z Paryża fotokopie naiwnych politycznych wierszy Nerudy po francusku. Giedroyc śląc mi je prosił, bym je przełożył i tymi tekstami wzbogacił przesłane mu przekłady.

Odpowiedziałem wtedy odmownie argumentując, że te przesłane mi polityczne teksty nie reprezentują istotnej twórczości chilijskiego poety i że uważam przekładanie ich za stratę czasu. Ciągnąłem dalej, że gdyby je drukować, oczywista stała by się tendencyjność i złośliwość. Pisałem:

Sądzę, że te krańcowe przykłady partyjnego wiernopoddaństwa nadają się do jakiegoś złośliwego artykułiku o Nerudzie. Łobodowski o nim w tej wienie pisał. Ale czy „Kultura” powinna też tak pisać, nie wiem... Neruda jest wielkim poetą. I pozostanie nim, mimo politycznych nonsensów. Ktoś powiedział, że talent należy oceniać po szczytowych osiągnięciach, a charakter po jego niżach.

Zresztą ponoć nasi Morsztynowie czy Trembecki nie zachowali się wcale lepiej, a ostatnio, tuziny pisarzy i poetów składało hołdy różnym przejściowym wielkościom i wrogom Polski. Najczęściej im to zapominamy. Spośród ostatnich emigrantów z Polski, z których wielu wspiera polską prasę, literaturę czy naukę na emigracji, niejeden ma na sumieniu głupstwa a’la wiersze Nerudy.

Moje argumenty redaktora przekonały.

Natomiast pryncypializmu Giedroycia doświadczyłem wstawiając się dwadzieścia lat temu za współpracownikiem, któremu „Kultura” zamknęła swoje łamy, profesorem Adamem Bromke. Argumentowałem wtedy tak:

Jako jeden ze starych czytelników „Kultury” ubolewam nad tym faktem i sądzę, że nadszedł czas, by sprawę ponownie rozpatrzyć. Idzie mi zarówno o stratę

doskonałego pióra, jak i o zasady wolnego pisma, z którym wielu ludzi wiąże nadzieje, pisma, które nie powinno bać się tolerancji i otwarcia na głosy i postawy Polaków. Skłania mnie do pisania raz po raz ukazujący się atak bardzo niepowołanych stróżów moralności, różnych panów z „Wolnej Polski” powołujących się na akt „Kultury”. Dawanie im broni do ręki jest jednym z niefortunnnych następstw sytuacji jaka przed czasem zaistniała. Nie myślę, by było brakiem lojalności zlikwidowanie przez Pana całego incydentu.

Giedroyc na to nie poszedł. Odparł:

Każde pismo ma swój profil i p. Adam Bromke do tego profilu nie pasuje, jak zresztą wiele innych osób. Ma on zresztą otwarte łamy szeregu pism, tak że nie można powiedzieć, że niedrukowanie go w „Kulturze” jest niedopuszczeniem go do głosu. Zresztą p. Bromke pisywał bardzo okazjnie, jak swoje wspomnienia harcerskie w „Zeszytach Historycznych” i dwa czy trzy artykuły normalnie dyskusyjne, które zamieściłem w „Kulturze”, ale nie mogę przekształcić pisma na jedną wielką trybunę dyskusyjną. Byłby to nawrót do tradycji Grydzewskiego, którego bardzo wysoko ceniłem jako redaktora, ale nigdy nie podzielałem jego poglądów na sposób redagowania pisma.

Kiedy Polski Październik zelektryzował emigrantów na Zachodzie, oczy wielu skierowane były na Paryż. Wydając wtedy „Merkuriuma Polskiego” w Londynie pilnie obserwowaliśmy reakcję „Kultury”. W liście do Giedroycia niefortunnie użyłem słowa „wolta”. Redaktor się obruszył.

Nie bardzo rozumiem co Pan nazywa „woltą Kultury”... Nie sądzę bowiem, by uważał Pan za woltę popieranie przez nas wolności prasy i tzw. rewizjonistów krajowych z „Po Prostu” i „Krzywym Kołem” na czele? Popierając Październik i udzielając kredytu Gomułce nie traktowaliśmy tego jako wstąpienia do nowego BBWR, a jedynie przyłączenie się do walki prowadzonej w kraju o dalszą demokratyzację stosunków, nie tracąc ma się rozumieć z oczu wszystkich trudności, które istnieją. Mówiąc inaczej współpracujemy z pismami i czynnikami niezależnymi, a nie z czynnikami oficjalnymi. Chyba to też powinno być po linii „Merkuriuma”?



Jerzy Giedroyc, fot. Polskie Radio dla Zagranicy.

W innym liście kilka dni później dodał:

Popieramy przecież nie system, czy Gomułkę, ale popieramy wszystkie przejawy ewolucyjnego demokratyzowania czy normalizowania stosunków w kraju, gdyż innej drogi nie ma. To stanowisko wymaga również energicznego zwalczania wszystkich prób nawrotu do dawnych metod, czy też do utrzymania nienaruszonego prymatu partii. Sądzę, że nie warto zajmować się grupkami emigracyjnymi „współpracującymi z krajem”. Zawsze to ma wydźwięk jakichś rozgrywek personalnych. W związku z ostatnimi wydarzeniami w kraju, jak również atakami „Nowych Dróg” i „Trybuny Ludu” na naszą linię, przygotowuję rodzaj listu do czytelników krajowych, który zamierzam wysyłać niezależnie od „Kultury”. Tekst będę miał dociśnięty i wydrukowany do końca przyszłego tygodnia i przyśle Panu parę egzemplarzy. Bardzo jestem ciekaw jak Panu będzie się podobał. Będzie to z jednej strony praktyczne i realistyczne credo „Kultury”, a taktycznie próba zaopiekowania się „rewizjonistami” to jest narastającą opozycją

lewicową. Do opozycji lewicowej przywiązuję specjalną wagę, gdyż jest ona dla ustroju komunistycznego o wiele groźniejsza od prawicy czy katolicyzmu: to trudniej skwitować określeniem faszyzm czy reakcja.

Czuły na problemy polskie niepokoił się m.in. sytuacją na Śląsku. Szczególnie poczynania partyjnego betonu osiadłego w Opolu napawały go troską. Kiedy doniosłem mu o powstaniu nowego uniwersytetu w tym mieście, ucieszył się.

Sprawa powstania uniwersytetu dla Ślązaków z naciskiem na sprawy humanistyczne wydaje mi się sprawą niezmiernie ważną. Czy nie zechciałby Pan napisać na ten temat do „Kultury”?

Orientując się świetnie w różnych sytuacjach redaktor nie rozumiał, że uniwersytet na Śląsku wcale nie był dla Ślązaków i że w takim Opolu Ślązaka trzeba szukać, niestety, ze świecą.

Prawdą jest, że Giedroyc bardzo się starał znaleźć ludzi, którzy mogli o Śląsku pisać wiarygodnie. Ukazały się w jego piśmie wypowiedzi Stanisława Bieniasza, Ryszarda Surmacza, a wreszcie Krzysztofa Karwata. Ja również napisałem na jego prośbę duży reportaż z Opola będąc świadkiem ostrej agitacji establishmentu w obronie osobnej administracji. Szczególnie kapitalne wydały mi się zabiegi dzierżącego władzę betonu, który nagle, po latach poniewierania rodzimą ludnością, zaczął drapować się na przywiązanych do ziemi, jej przeszłości i obyczajów Ślązaków, dla zachowania kilku tysięcy wygodnych foteli. Artykuł mój wypadł zbyt enigmatycznie, był chaotyczny, za dużo w nim było ekstrawaganckich wypowiedzi lokalnych demagogów straszących bezrobociem i haraczem na rzecz oczyszczania terenów katowickiego zagłębia węglowego, obiecujących dobrobyt w niezależnym województwie, bojących się utracić stanowisk władzy odziedziczonych po ojcach, którzy przyjechali budować socjalizm wśród opornych Ślązaków. Interes państwa widzieli w zachowaniu za wszelką cenę własnych posad. Takie wygodne rodzime Naddniestrze.

Giedroyc zaproponował, bym artykuł przeredagowałem i ewentualnie przedstawiłem jako impresje z Opola. Dodał:

Bardzo liczę, że Pan nie odmówi, bo temat jest, rzeczywiście, niezmiernie ważny.

Tymczasem biegł czas, reforma administracyjna w Polsce stała się faktem. Przypominanie kłamstw agitacyjnych nie miało wielkiego sensu. Władze się ostały. Opolanie na własnej skórze doświadczyli pogorszenia się ekonomicznej sytuacji województwa, jak to było do przewidzenia od początku.

Kiedy wykładałem we Wrocławiu, szykowałą się akurat wyprawa autokarowa redakcji pisma z Kłodzka do Paryża. Dołączyli do niej chętni z innych miast. Chciałem także pojechać, bo oprócz zwiedzenia Paryża w programie była wizyta w Maisons Laffitte. Okazało się jednak, że do Giedroycia pójść miała tylko delegacja złożona z dwu, trzech osób. Redaktor nie chciał tłumów. W tej sytuacji nie wypadało zabierać miejsca ludziom, którzy Giedroycia nigdy nie widzieli, a w końcu ja byłem u niego parokrotnie i spotykałem go w Londynie, w czasie jego wizyt. Zrezygnowałem więc z wyjazdu, czego żałuję niezmiernie, gdyż była to, jak czas okazał, ostatnia szansa, by redaktora zobaczyć. On natomiast dowiedziawszy się o moich wahaniach zapewniał, że czas by znalazł na pogadanie o różnych rzeczach. Wierzę, gdyż nieraz doniósłszy mu o moich podróżach, czy zamiarach, natychmiast otrzymywałem wskazówki i adresy osób, które miałem odwiedzić i poznać.

I tak, bardzo cieszył się z mojej wizyty w Wilnie i zachęcał do wykładów na tamtejszym uniwersytecie, co udało mi się zrealizować w maju 1999. Polecał mi również Mińsk, ale najwięcej wskazówek otrzymałem na temat działaczy na Zaolziu, bo jeździłem do Ostrawy na wykłady literatury hiszpańskiej i odwiedziłem Cieszyn. Poszukałem dla Witolda Gombrowicza tłumacza na hiszpański, próbowałem nagrać rozmowę z dyrektorem Ossolineum, ale po wielu próbach zrezygnowałem widząc jego niezdecydowanie. Przekazywałem polecenia Kisielewskiemu i Słonimskiemu w Polsce.

Kiedy w roku 1999 poinformowałem Giedroycia o zwolnieniu Jarosława Abramowa z funkcji redaktora „Związkowca” w Toronto, odpowiedział pesymistycznie:

Historia ze „Związkowcem” jest dosyć okropna. W ogóle Polonia Kanadyjska coraz bardziej się rozkłada. Bardzo to smutny objaw. Z Polonią Amerykańską, mimo wysiłków Nowaka, nie jest lepiej.

Ostatnie listy najczęściej mówiły o chorobie i śmierci w Toronto redaktora Benedykta

Heydenkorna. Giedroyć ustawicznie się o niego troszczył, a po jego śmierci napisał o nim piękne wspomnienie. Natomiast, kiedy po czasie wdowa chciała przekazać na Fundusz Kultury pewną kwotę pieniędzy, Giedroyć stanowczo odmówił przyjęcia.

Jeszcze 20 lipca 2000 roku na moje doniesienie, że ugryzł mnie pies i że nic w tej sprawie nie uczyniłem, otrzymałem odpowiedź Giedroycia:

Widzę, że mamy wspólne przeżycia z psami. To, że nie poszedł Pan na policję, to w porządku, ale lekarza lepiej było odwiedzić, bo mógłby mieć Pan komplikacje takie jak u Zosi (Hertz - FS). Miejmy nadzieję, że pomału wrócimy do normy po wszystkich trzęsieniach ziemi, które przeżywaliśmy, z huraganem włącznie, który uszkodził dach i nasze drzewa.

Niestety, ostatnie słowo w naszej korespondencji miała poczta elektroniczna, szybka, wygodna, ale zdawkowa, efemerydalna i nietrwała. Giedroyć obiecał mi jeszcze wydrukować w numerze wrześniowym „Kultury” rozmowę, którą przeprowadziłem z Bolesławem Taborskim po sesji w Toruniu poświęconej Jerzemu Pietrkiewiczowi. Nikt nie przewidział, że będzie to już jego ostatni numer.